



Wojciech Wardejn

# KADRY PRAWDY

czyli

byłem wyrobnikiem tabletu

© Copyright by Wojciech Wardejn & e-bookowo 2010

Grafika i projekt okładki: Wojciech Wardejn

ISBN 978-83-61184-85-0

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2010

### OŚWIADCZENIE

Niekoniecznie wszystkie historie, opisane w tej książce się wydarzyły. Ale mogły się wydarzyć – możliwe, że nie do końca tak, jak są opisane. Osoby występujące w niej są również fikcyjne. Ale niewykluczone, że istnieją naprawdę.

*Polska to dziwna kraj.*

W.W.

„...można błędzić, ale nigdy nie wolno się ześwinić...”

# WSTĘP

## czyli słów kilka o tym, co boli

Jak zaczynałem robotę w tej redakcji, to myślałem, że złapałem Boga za nogi. Ściślej po pierwszych wypłatach. Niewiarygodne, ale prawdziwe jak gówniarz, co to po szkole myśli, że coś umie i jest fachura, że hej. Mamili pieniędzmi, fotoreporter to i z siedem koła może wyciągnąć miesięcznie. Taaaak, ale wtedy cztery koła to same koszty, jeśli wszystko zwróca.

Teraz po dwóch latach harówy, rozpadającego się małżeństwa, zszarganych nerwach, wrzodach, bliski zawału, obelgach, groźbach z Warszawy i poznańskiej mafii, z kredytami na sprzęt, debetami na kontach, i długami u rodziny i znajomych... zaraz, zaraz rozpedziłem się czy... nie do jasnej niespełnionej ku... ladacznicy, obiecałem sobie, że nie będzie tu wulgaryzmów z mojej strony tylko dziennikarski zapis rozmów z „redaktorami” z wa-wy (że też temu niemieckiemu kurdupłowi w pikielhaubie nie udało się jej zburzyć). Co za ludzie tam ciągną. Inteligencja, której życzenia popierane są słowami na k i na ch w stylu: „weź tego ch... i ustaw tak a tak” lub „weź pier... tą k... i znajdź jakiegoś innego targeta<sup>1</sup> do tego tematu, ostatecznie podstaw znajomego”. No właśnie jest coraz mniej osób, z kręgu moich znajomych, do których mogę zadzwonić bez wstydu. I na co to wszystko? Dla forsy? Przecież zawsze kochałem robić zdjęcia. A teraz jak o tym pomyślę, to mi się chce rzygać, wszyscy muszą patrzeć w obiektyw robić głupkowate gesty, bo bez tego, mało, że fota nie pójdzie to jeszcze zadzwoni jakiś gówniarz z wawy i opier... nie przebierając w słowach.

Najlepszym fotoreporterem dla tej gazety byłby pierwszy lepszy szympan z poznańskiego zoo, z cyfrą. Na takiego każdy spojrzy i jeszcze głupią minę zrobi. Ideał wprost. A jaka oszczędność. Banany teraz takie tanie, a na barter też niejednen market by poszedł. No, ale dość już tego przy nudnego wstępu...

*AUTOR (zawsze chciałem się tak podpisać)*

---

<sup>1</sup> target – w nomenklaturze redakcji brukowca osoba występująca na zdjęciu przy jakimś artykule, trzymająca się za głowę z rozpaczy, z kciukiem do góry, generalnie target jest po to, żeby artykuł zyskał na wyrazie. Bardzo często *target* nie jest informowany dokładnie o treści artykułu.

# KADR I

## Dwie małe śmierci, czyli jak podeptać czyjaś tragedię

Zmęczone upałem słońce zapala łagodne światła na masztach jachtów w zatoce. Zrywająca się, wieczorna bryza budzi kuranty w takielunku<sup>2</sup>. Coraz głośniejsze i głośniejsze..., co jest? Przecież, aż tak silna nie jest? Co tak wyje?

Telefon... No, tak, koniec marzeń. Coś się dzieje. Gdzie jest ta cholerna elektroniczna smycz?... Jest!

Na wyświetlaczu „Małgorzata biurko”. Hm, szefowa.

– Co jest?

– Wstawaj kurwa i zapierdalaj na Chrobrego.<sup>3</sup> – Słodczyz tych słów stawia mnie na nogi  
– wypadek był, motocykl i samochód, dwa trupy motocyklista w szpitalu, nieprzytomny...  
– Zerkam na godzinę, 7.30

– A o której?

– W nocy, o pierwszej, czy coś,

– To pewnie już sprząta... – usiłuję wtrącić, usiłując jedną ręką nałożyć pastę na szczoteczkę...

– Ty mi kurwa nie przerywaj. – Anioł, nie kobieta, przemyka mi przez głowę. – Masz mi tam wszystko zrobić przeżyciówki i koniecznie motocyklistę w szpitalu.

– Na *oiomie*<sup>4</sup> to i tak z nim nie pogada...

– Z ukrycia – przerywa mi znowu. – Masz tam wejść i zrobić, jak jest podłączony to tych wszystkich gówien. Chuj, zapierdalał przez miasto i dwoje dzieci zabił, to zrobimy z niego zwyrola<sup>5</sup>... Jutro idzie to na kraj<sup>6</sup>... Aha, i weź Alicję z redakcji.

– Dzieci???

– Tak... dwoje jechały tym tico z tyłu, i on tam się akurat w nie wbił.

---

2 Takielunek – po prostu, olinowanie stałe jachtu. Takie sznurki, co to te maszty trzymają. Więcej tam jest elementów, ale na potrzeby książki, pojęcie to zawężam.

3 ul. Chrobrego – nazwy ulic i osiedli zostały zmienione.

4 Oiom – oddział intensywnej terapii w szpitalu, gdzie trafiają pacjenci w ciężkim stanie.

5 Zwyrol – bardzo często bogu ducha winny człowiek, ale na niego wskazał jakiś informator, bądź osoba przychodząca z tematem do redakcji.

6 idzie na kraj – wydanie główne gazety, kolportowane w całym kraju.

– A jak mam te przeżyciówki<sup>7</sup> zdobyć?

– Nie wiem, kurwa, może gdzieś tam mieszkają, ludzi popytać. No dalej, zapierdalaj...

– Myję zęby już – odpowiadam

– Ty tam za dużo nie myj, tylko jedź, Alicja już czeka... pi... pi... pi... pi... pi

– Dzień dobry może, albo do widzenia *cy cuś* – mówię do pipającej komórki – też cię lubię – dodaję, nie wiedząc, czy mam na myśli aparat, czy była rozmówczynię.

Szuru buru, prawo lewo, gacie, spodnie, koszula, sprzęt<sup>8</sup>, i już jestem w aucie. Jadę ulicami mojego miasta, i myślę sobie o tragedii, co to mam ją upublicznić. To mogły być moje dzieci. Ja mógłbym jechać tym motorem. No cóż, praca trzeba ją wykonać. Gdybym tak mógł fotografować piękne kobiety... ta Alicja na przykład. Cud dziewczyna, i do tego nie jest głupia...

– Wojtek żonę masz też piękną i niegłupią – no tak, sumienie się obudziło. Jezu jak ono wkurza mnie czasami budzi się, a spać powinno, i nie daje żyć...

– Wiem, wiem – mówię – daj spokój...

– Tak, ja dam spokój... a ty mi tu znowu na manowce zejdiesz... ja i tak już razy parę zaspalam i czmychnałeś mam wymieniać Anka, Dan...

– Nieeee, nie, przecież pamiętam, mam ci je wymienić według alfabetu czy według dat? Daj mi spokój widzisz, na jaki materiał jadę! – bronię się – tym się zajmij...

– No może masz rację, ale nie myśl, że mi coś tu ściemnisz

– No dobra już dobra – ucinam jego męczące moralizowanie.

Wjeżdżam w Bednarską. Alicja już czeka. Po minie widzę, że trafiła się nam cegła, co najmniej średniowieczna.

– Cześć. – Alicja wsiada.

– Cześć... Mamy już coś? – pytam, myśląc o adresie byłych już rodziców.

– Tak... Oni gdzieś tam mieszkali. Chlapnęła nam to drogówka, jakiś wieźowiec na osiedlu obok – dodała swoim aksamitnym głosem. – Wojtek!!! – Sumienie nie śpi, cholera – już będę grzeczny – odpowiadam – No!!! Mam nadzieję.

– To, co, gdzie? Najpierw miejsce? Czy szpital? – pytam, ruszając.

– Szpital... Marcowa... Bo rodzice raczej będą w domu, a do szpitala zdążymy przed obchodem i dyrektor pewnie też jeszcze będzie wolny, żeby wydać zgodę na wejście – dysponuje Ala.

– Oki. – Dodaję gazu, wciskając się w sznur samochodów.

---

<sup>7</sup> Przeżyciówka – zdjęcie osoby która zginęła bądź zaginęła, bardzo często z dowodu lub legitymacji, rzadziej z wakacji, istotna jest twarz, żeby pokazać w gazecie jak osoba wyglądała

<sup>8</sup> Sprzęt – aparat fotograficzny, obiektywy, i takie tam urządzenia pozwalające robić zdjęcia.

Szpital... wielki gmach z betonu i szkła, wykuty robotniczą siłą w czasach peerelu, ohydztwo, jego bryła zawsze z daleka przypomina mi nagrobek... skojarzenie co najmniej makabryczne... ale cóż, choroba to w końcu, dwie ćwierci, od śmierci... ochroniarz przy szlabanie o wyglądzie ciecia (skąd oni ich biorą???) na widok legitymacji press chowa parkingowy bloczek i usłużnie podnosi barierkę. Zajeżdżamy pod izbę przyjęć.

Alicja, jak zawsze ponętna, podchodzi do dyżurki (Jezu jak ta dziewczyna potrafi się poruszać...). Po paru słowach podchodzi do mnie, niewysokiego ciemnego blondyna, nie rzucającego się w oczy, gdyby nie ten wór ze sprzętem...

– Dyrektor jest, a gościa na intensywną terapię przewieźli – zagaduje swoim altem

– To, co? dyrektor?... czy udajemy na oiomie, że cioci szukamy???) – sonduję jaką taktykę przyjmujemy

– Dyrektor – ucina – ostatni to szpital, w którym dyrekcja i personel chcą jeszcze z nami gadać... reszta tych placówek, już od dość dawno ma nas dość... pamiętasz dyrektora Sasanę z dziecięcego? – Ach ten jej alt. – Wszystko nam mówił, pomagał jak mógł, przekonywał rodziców... jak drastyczne sprawy były, że możemy pomóc... i takie tam? – kontynuuje. – Od słynnego artykułu redaktora Zembrzuskiego<sup>9</sup> już gadać z nami nie chce...

– Jakiego???) – pytam.

– No tego... co napisał, że te szpitale będą likwidowane... i nam nie powiedział, jaki materiał robi... sam robiłeś mu zdjęcia... jak pojechaliśmy na rozmowę z nim o szpitalu. potem do mnie zadzwonił... nie chciałbyś takich rozmów przeprowadzać...

– No tak... masz rację... Dlatego robię zdjęcia... żeby takich telefonów nie odbierać.

– Cwaniak...

Antresola. Drzwi do sekretariatu dyrektora Kuszomskiego. Trochę zmęczona przez życie sekretarka wprowadza nas do gabinetu Najważniejszego w tym budynku...

– Witam... witam... Kochaną prasę – podlizuje się dyrektor Kuszomski. – Co państwa sprowadza do mojego gospodarstwa???)

– Motocyklista – mówi Alicja – ten z nocy z wypadku

– ... Dobry... – odpowiadam na powitanie...

– Aaa... tego z ulicy Chrobrego...

– Tak – jak ta dziewczyna potrafi być konkretna... kiedy trzeba

– Pani Beatko... proszę mnie z terapią połączyć... z ordynatorem... – dysponuje dyrektor.

---

<sup>9</sup> Zembrzuskiego – nazwiska i imiona dotyczą osób istniejących naprawdę, z oczywistych względów sądowo prawnych zostały przeze mnie zmienione



Po chwili dzwoni jeden z telefonów na zawalonym papierami, ogromnym biurku dyrektora.

– Tak... Paweł... ja tam ci wysyłam dziennikarzy... tak... do tego motocyklisty... noo... od tych dziewczynek... powiedz, co wiesz, i co możesz... okej... no jakąś fotkę zrobią... no bez twarzy, wiesz... dziękuję – odkłada słuchawkę – no to załatwione... wiecie, gdzie jest oiom... piąte piętro... ordynator udzieli państwu wszelkich informacji.

– A zdjęcia??? – pytam, wyciągając aparat z torby.

– Można zrobić... ale wie pan, bez twarzy...

– Wiem, nawet jak twarz będzie, to ją zapikslujemy<sup>10</sup>... no chyba, że klient się zgodzi...

– Chyba raczej się nie zgodzi... nieprzytomny jest...

– No tak, FAKT....

Żegnamy się z dyrektorem i udajemy się w kierunku wind, w środku ten budynek nie wygląda tak traumatycznie, widać inwestycje, nowe technologie, wykładziny, wystrój, powiedziałbym nawet, że jest przyjemnie. Tylko ci ludzie w szlafrokach... gipsach... i bandażach... trochę tą sielankę psują. To w końcu przecież szpital.

Ordynator intensywnej terapii, sympatyczny facet w wieku, chyba coś koło pięćdziesiątki. Wita nas skąpym uśmiechem spod szpakowatego wąsa harmonizującego z idealnie przyciętymi, równie szpakowatymi włosami.

– Co chcieliby państwo wiedzieć?

– Jak czuje się sprawca wypadku? – Alicja go atakuje – czy coś powiedział, jakiś kontakt z nim jest?

– Nie, od momentu przyjazdu jest podłączony do aparatury i kontaktu z nim nie ma... ale jego stan jest stabilny... udało nam się go wyprowadzić, bo przyjechał w dość ciężkim stanie...

– A jakaś jego rodzina, albo przyjaciele pojawili się w szpitalu? – pyta Alicja, a ja w tym czasie rozglądam się, próbując, żeby to nerwowo nie wyglądało, a lufa mojego aparatu zatacza kręgi fotografując co się da, a nóż widelec, na którejś kłacie złapię gościa, jakby jednak nie pozwolili zrobić zdjęć. – Można z nimi porozmawiać?

– Rodzina była rano, ale teraz pojechali do pracy... z tego, co się orientuję, to chyba rozmawiać nie chcą z prasą... Chcą spokoju...

– A jakieś namiary na nich?

– Tak jak mówię... oni kontaktów z prasą nie chcą – twardo ucina ordynator. – Pan zdaje się jakieś zdjęcia chciał zrobić?

– Tak tego motocyklisty na sali...

---

<sup>10</sup> Zapiksłować – zasłonić twarz osoby, która, nie wyraża zgody na publikację swojego wizerunku. W przypadku podejrzanych i przestępców stosuje się przeważnie czarny pasek na wysokości oczu

– To zapraszam – mówi lekarz, podchodząc do drzwi z napisem intensywna terapia. – Ale rozumie pan – uśmiecha się przeprasza­jąco – na salę wpuścić pana nie mogę tylko w drzwiach pan stanie...

Dobra, dobra – myślę – zawsze taki kit wciskacie.

– Nie ma problemu – odpowiadam, starając się wyglądać sympatycznie – ale z drzwi go widać?

– Jedy­ny pacjent po lewej – dodaje otwierając drzwi – i proszę nie używać lampy...

W oczu rzuca mi się przestronność i sterylność pomieszczenia. Łóżka pacjentów od­dzielone parawanami, stoją w takich odległościach, że spokojnie zaparkowałbym obok każdego samochód. Nieprzytomnego motocyklistę oplatają węże i kabelki. Na monitorach miarowo pulsują lampki i wyświetlacze. Co jakiś czas ktoś z personelu podchodzi do urządzeń i sprawdza jakiś odczyt. Na widok mojego aparatu chowają się jednak w popło­chu za parawanami i tylko czasem widać, jak podglądają mnie przez szpary. Czuję się, jakbym zawitał gdzieś w dżungli do Indian nie mających kontaktu z cywilizacją i techni­ką.

Potężne okna dają tyle światła, że aż żał lampę wyciągać. Zdejmuję gościa z góry, z do­łu, żeby warszawka miała co wybrać i mrugam do Alicji. Pracujemy razem już trochę, więc uśmiecha się przelotnie, dając mi znak, że zrozumiała. Jestem zadowolony z obraz­ków. Twarzy nie widać, ale sama postać na łóżku robi wystarczająco sugestywne wraże­nie.

Żegnamy się z ordynatorem. W drodze do samochodu Alicja włącza telefon.

– No tak, kilkanaście nieodebranych... sam zobacz – pokazuje mi telefon – ale mają parcie na ten materiał<sup>1112</sup> – w jej głosie wyczuwam lekki niepokój...

– Jak znam życie i tą firmę, to zwykle tak parte materiały i tak nie wchodzą – staram się ją podtrzymać na duchu – tylko leżą i leżą... i leżą... a potem, jak mają szczęście, to na lokal wchodzą...<sup>13</sup>

– Ale co zaliczam joby<sup>14</sup> z Warszawy to zaliczam...

– No tak... i wali się moja teoria, że nie ma niepotrzebnych zjebek – próbuję poprawić jej humor, ale ona już oddzwania do wawy.

Pakując się do samochodu, podsluchuję jak negocjuje z redakcją i zdaje im relację z tego, co zrobiliśmy i co mamy zrobić. Wyczuwam, że wizyta u rodziców jest trochę po­nad jej siły. Zaczynam o tym myśleć i zaczynam się bać. A gdybym to ja był na miejscu ojca tych dziewczynek? Mam dwoje dzieci. Czy chciałbym rozmawiać z dziennikarzami

---

11Parcie na materiał – ktoś z warszawy , zgłasza temat jako, zrobiony, i potem, ściemnia, że wszystko jest, a jak się okaże, że jednak nie, to ci jego szefowie, fundują mu dupę średniowiecza, i miło nie jest, ale trzymają się swoich posadek, dobrze płatnych, i wymuszają działanie, na podwładnych, a my w oddziałach, musimy to zrobić. Typowa dżungla.

12 Materiał – artykuł prasowy w trakcie realizacji

13 na lokal wchodzą – niektóre gazety oprócz wydań krajowych mają też w nich strony lokalne, kolpor­to­wane tylko w konkretnych miastach, np. we Wrocławiu i w Poznaniu, zamieszczane są tam artykuły doty­czące tych miast

14 joby – powinno być zjebki, ale trochę za dużo ciężkich wulgaryzmów, ale taka jest ta praca

z tabloidu<sup>15</sup>? A mówiąc po prawdzie ze szmatławca, brukowca? Nazwę tabloid wymyślili właśnie redaktorzy tych gazet. Żeby się lepiej słyszało i nie kojarzyło. Seks, krew i skandal, tym się żywią. Nieważne, czy słusznie czy nie, byle zgnoić, o konsekwencjach się nie myśli. A ten motocyklista, młody chłopak, kochał pewnie szybkość, jechał w nocy, myślał, że będzie pusto, jak on będzie żył ze świadomością, że zabił? A ja dokładam się do tego, że ludzie będą mówić o nim... morderca. Może się załamać, popełnić samobójstwo... warszawka ma to głęboko gdzieś. Już słyszę, jak mówią: i co z tego, będziemy mieli przy najmniej kontynuację... czuję motylki w brzuchu... nie, to telefon wibruje...

– Tak, słucham?

– Cześć, tu Kowalski z foto z wawy... Czekam na foty z tego wypadku z dziećmi... kiedy coś wrzucisz?

– Stary, ja dopiero ze szpitala wyjeżdżam...

– Masz zwyroła?

– Motocyklistę mam, na łóżku jak leży doczepiony do tej aparatury...

– To wysyłaj od razu... Masz laptopa przy sobie?

– Mam, ale wyślę z redakcji będzie szybciej i taniej.

– No, co ty – denerwuje się fotoedytor Kowalski – szkoda czasu...

– Słuchaj, mam prywatny telefon i w tym miesiącu już dość się nawysyłałem i rachunek mam coś koło czterech baniek<sup>16</sup>, a zwrot tego dostanę najszybciej coś za dwa miesiące. Nara, muszę kończyć – przerywam rozmowę.

Cwaniaki, psia krew, na etatach, tylki grzeją w redakcji, żadnych kosztów nie ponoszą, a pensyjka równo koło dwudziestego któregoś wpływa na konteczek w banku i luz. A ja czasem czekam dwa miesiące, jak mi wpłynie. Bo ktoś na urlopie, a potem jeszcze ktoś, a umowy to w czwartki tylko można zanieść, i tak w kółko Maciejowi. Kiedyś dostałem pieniądze trzeciego, a następne ostatniego dnia miesiąca kolejnego, a zrobiłem coś koło dwunastu tysięcy kilometrów, bo to, to tamto trzeba było zrobić w całej Wielkopolsce i Lubuskim. Miałem sobie do baku susiać, czy coś... zapożyczyłem się, że hej. Dobrze. Że wycena była odpowiednia za zdjęcia, i wszystko weszło, to było z czego oddać.

– Wojtek, ci rodzice mieszkają na osiedlu Braterstwa... blok numer dwadzieścia dziewięć – wytrąca mnie z rozważań Alicja. – Wiesz, gdzie to jest?

– Dwadzieścia dziewięć? To chyba koło Domu Kultury Księżyc, sprawdź na planie – wyciągam z kieszeni w drzwiach auta książeczkową dokładną mapę miasta – ale to prawie na sto procent jest tam, bo w dwadzieścia osiem mieszka mój kumpel... jeszcze z pracy w telewizji... – dodaje.

Alicja sprawdza skorowidz, odchylając niesforne kosmyki blond włosów, zsuwających się na mapę, znajduje blok i mówi:

---

<sup>15</sup> Tabloid – kolorowa gazeta codzienna z przewagą zdjęć, gdzie artykuły są pisane bardzo prostym nieskomplikowanym językiem, np. niemiecki Bild, a w Polsce Super Ekspres i Fakt

<sup>16</sup> bańka – sto złotych polskich, to dla starszych czytelników, co pamiętają jeszcze czasy, gdy odbierało się pensję w milionach i wtedy na jeden milion mówiło się bańka

– Masz rację na lewo od Księżycy. Skąd ty znasz tak miasto?

– Z kątowni<sup>17</sup> – odpowiadam żartem, widząc, że stres przed spotkaniem z rodzicami ją zżera... – kiedyś mieszkalem w tej dzielnicy... od brandenburskiej będzie to chyba pierwszy wjazd... zaraz za kładką...

Przede mną jakiś mistrz kierownicy, gadający przez komórkę, ze ślimacza prędkością, zjeżdża na lewy pas do skrzyżowania w osiedle. Zapala się zielone, skręca, i widzę, że to jakiś etranżer<sup>18</sup> z korporacji spożywczej. Nie będę trąbił. Gość ma dość stresów. Pojedzie na spotkanie przedstawicieli handlowych swojej firmy na drugi koniec Polski i zostanie na schodach hotelu z garniturem w ręku, jak mój kolega, bo zabrali mu kluczyki laptopa, i komórkę. Szukał automatu, żeby wezwać taksówkę. Bo syn kolegi prezesa nie miał pracy.

– Wyprzedź go... – pogania mnie Alicja. Widzę jak nerwy jej puszczają – no dalej...

– Spokojnie... tak do tych rodziców się śpieszysz?

– No, nie... ale miejmy to już za sobą...

Cholerne garby zwalniające, moje audi z jęczeniem amortyzatorów przeskakuje je podczas wyprzedzania auta handlowca. Skręcam w prawo i podjeżdżam pod wieżowiec numer dwadzieścia dziewięć. Alicja odbiera kolejny już telefon.

– Tak, podjechaliśmy już pod blok rodziców... tak zobaczymy, co się uda... teraz na razie nie dzwońcie... no, cześć... co za ludzie – dodaje, już do mnie – przecież jak tak napierdalają na komórkę, to pracować się nie da... – kwituje.

Przekleństwo... i... Alicja... to coś wyjątkowego, musi być bardzo zdenerwowana. Jak tak na nią patrzę, to chce mi się wyć... AUUUU... AUUUU... co ty tu, dziewczyno, robisz? W tej redakcji?

Stajemy przed wejściem do bloku. Nerwowo zawijam pasek aparatu dookoła dłoni, zerkam, czy ustawiłem wszystko na trudne warunki. Wysoka czułość, dwa osiem światło, na tyle obiektyw pozwala, czas co najmniej sześćdziesiąt, żeby przy kaszleniu zagłuszającym migawkę dał zdjęcia nie poruszone. Ktoś wchodzi i wsiadamy do windy.

– Siedemdziesiąt dwa... jak myślisz, które to piętro? – pyta Ala.

– W hotelu to byłoby siódme, ale w tych komuszach blokach to pewnie liczyli po kolei... i wypadnie piąte... wduś piątkę... najwyżej dojdziemy po schodach.

– Dojdziemy... Wojtas!!!! – taki żart w jej ustach to znak, że stres ją zżera na tak zwanego maksa.

– No dobra, dojedziemy... – łagodzę – ale co dzwonimy – mówię, widząc łzy w jej oczach (pięknych oczach i... no, dobra sumienie, już przestaję. Nooo, odpowiada sumienie, ja myślę.)

– No, nie wiem... – Alicja łamiącym się głosem mówi – stracili wszystkie dzieci, a my z tymi butami w ich życie... tak krótko po tej tragedii...

---

17 kątownia – miejsce nieistniejące, odpowiedzialne za pojawianie się różnych rzeczy, o dziwnych właściwościach

18 etranżer – po prostu akwizytor, przedstawiciel handlowy

Telefon Ali dzwoni...

– Tak słucham – mówi – jesteśmy w bloku pod drzwiami tej rodziny...

– To wejdziecie, kurwa, do tej rodziny. – Głos z warszawy jest tak donośny, że słyszę każde słowo – przeżyciówki tych dzieci, i rodziców z tymi zdjęciami dzieci mają być, jak to zrobicie, nie wiem, ale ma być...

– Oni mogą nie chcieć rozmawiać – mówi Alicja – to, co mam te zdjęcia wykraść?

– Tak, możesz je wykraść... to idzie na okładkę... – Naczelný jest zgrzany tym tematem.

– No, to jest gnój – kończy Alicja zwracając się do mnie – oni chcą dać to na czołówkę, jak właściwie nic jeszcze nie mamy... ale oni ustalili, ale ma być... Wojtek masz jakiś pomysł?

– Jedyńy to zadzwonić... i zapytać czy chcą gadać...

– To, co dzwoniemy?

– Tak dzwoń... – ponagliam ją.

Dzwoni. Otwiera chyba babcia i mówi: żadnej prasy. Prosi, żebyśmy uszanowali tą tragedię. To mnie nie dziwi, dwa małe życia zakończyły się tak nagle. Mój syn już mnie przerosł, i córka też, a jaki dumny z nich jestem. A tą rodzinę jeden wyjazd tego pozbawił. Alicja chyba płacze bezgłośnie, jak jedziemy do redakcji. Odbiera telefon za telefonem z centrali. I płacze. Próbują ją zgnoić taka ich metoda. Musimy mieć te zdjęcia. To co, mamy ich związać... i wymusić... to karalne jest.

W redakcji Alicję od razu szefowa zagarnęła do gabinetu. Usiadłem przy swoim biurku i rozłożyłem sprzęt. Po chwili, kiedy na ekranie komputera przeglądałem zdjęcia ze szpitala, przysiadła się Małgorzata, nasza szefowa.

– Wojtuś – zawsze tak zaczynała, jak miała coś trudnego do zakomunikowania – jak to było tam u tych rodziców... – Wiedziałem, że tak będzie, zaraz pewnie usłyszę, stań pod domem i zrób ich z ukrycia... tylko, po co...

– A jakieś pliki pomocy – odpowiedziałem ostrożnie – z czym było?

– No, jak zadzwoniliście... bo zadzwoniliście?... Prawda? – No tak, nie wierzy Alicji, że tam byliśmy. – Nie udało ci się nic pyknać<sup>19</sup>?

– Bez szans. Uchylili tylko drzwi, nawet nie wiem, czy kobieta, czy mężczyzna, cicho się odzywali, a stałem tuż obok Ali i nic nie słyszałem, a korytarz ciemny, że oko wykol.

– A można by pojechać jeszcze raz? I spróbować?... może się uda?...

Szlag mnie powoli trafiał. Bardzo powoli ścisnąłem poręcz fotela i starając się mówić spokojnie, odparłem:

– Gocha... oni stracili dwójkę dzieci... jedynych dzieci... nawet do nas nie wyszli. Alicja powiedziała, że rozmawiała z babcią... pracujesz nie od dziś w brukowcu i chyba

---

19 pyknać – zrobić zdjęcie z ukrycia

wiesz, że czasami wiadomo od razu, czy warto drażnić temat, czy nie... w tym przypadku marne szanse. Tyle w temacie...

– A... – zaczęła.

– To nie ma sensu – przerwałem, wiedząc do czego zmierza. – Co nam da zdjęcie rodziców... z ukrycia? Nic... a szukanie w szkole zdjęć dziewczynek też nie ma sensu... co mamy je zapikselowane? Bez zgody rodziców i tak musimy je zasłonić... bez sensu. Lepiej dać to na kupę ze zdjęciem<sup>20</sup>, że był wypadek i tyle... po co tych ludzi męczyć... pewnie są na jakichś prochach<sup>21</sup> i nie sądzę, żeby w ogóle gdzieś wychodzili... ja bym nie wyszedł...

– Skoro tak mówisz – wyczułem w jej głosie ton zniecierpliwienia. Oj, chyba spaceruje po cienkiej lince, oj, cieniutkiej. – To wyślij, co masz, i daj mi znać, jak wawa je dostanie...

Była wyraźnie poirytowana moją postawą i brakiem z mojej strony entuzjazmu w stosunku do tego tematu<sup>22</sup>. Ale dotarło do niej, że nic nie zawalczy. Poszła do siebie, a ja opisując zdjęcia, dumiałem sobie o tym, jak w niektórych pęd do kariery, i chęć dostania się do stolicy, zabija uczucia. Współczucie, co to jest? Czy ta robota, aż tak zmienia człowieka?

Jest kobieta. I co? Nie czuje tej delikatnej granicy, za którą nie powinno się wychodzić? Przecież to ja oglądałam zmasakrowane ciała ludzi, którzy zginęli i robię im zdjęcia. Dziennikarz stoi zwykle kilkadziesiąt metrów dalej i rozmawia z policją lub strażakami. Co najwyżej zerkną w redakcji na zdjęcia. A ja tych wszystkich denatów pamiętam. Czy ja też się zmieniam? Czy zauważę zmianę? Czy już jest za późno? Za dużo tych znaków zapytania, trzeba do roboty się wziąć, bo zaraz jakiś fotoed<sup>23</sup> zadzwoni i przemiłymi słowami zapyta: „kurwa, gdzie zdjęcia są?”. No tak, jestem na dole łańcucha pokarmowego w tej firmie. A najbardziej bawi mnie fakt, że ta gazeta żyje zdjęciami, a nas fotoreporterów traktuje się najgorzej i jeszcze o etacie to możemy najwyżej pomarzyć. No nic, taki lajf.

Po paru godzinach, zerknąłem na podgląd wydania. „Morderca na motorze zabił dzieci”, krzyczał tytuł. A czego się spodziewałeś? Mruknąłem do twarzy odbijającej się w monitorze. Mojej twarzy widocznej między zdjęciem chłopaka rozciągniętego na szpitalnym łóżku a zniczami na trawniku przy osiedlowym sklepie. Kolejny dzień. Kolejne znicze. Kolejny raz zaznaczam przycisk wyłącz komputer. I kolejny raz przyłożyłem się do czegoś, z czego nie mogę, być raczej dumny.

---

20 kupa ze zdjęciem – krótka wzmianka o wydarzeniu z jednym zdjęciem

21 są na prochach – dostali środki uspakajające, od pogotowia, a inne lekarz im zalecił

22 temat – inna nazwa artykułu w trakcie realizacji

23 fotoed – fotoedytor, osoba odpowiedzialna za wydrukowanie zdjęć w redakcji, i składająca gazetę na komputerze w finalnej formie

## KADR XIV

### Finanse, czyli problemy niemłodego wyrobnika

W mojej szufladzie, w redakcji, stosik kopert z banku. Z pisemkami, że w tym miesiącu sześćdziesiąt złotych odsetek, a w tamtym sto dwadzieścia, za opóźnioną spłatę debetu. Kopert tak jest około sześciu. Bo Warszawa pieniądze wysyła, łagodnie mówiąc losowo. Znaczą od pół roku, płacę z własnej kieszeni, za ich niefrasobliwość.

Skrećam jakieś redakcyjne meble. Przenieśliśmy się na parter budynku. Wreszcie, będzie trochę przestronniej, i nie będziemy nawzajem na plecach sobie siedzieć. Choć niektóre plecy przyjemne są. Komórkę zostawiłem na parapecie w pokoju obok. Słyszę jakiegoś smesa. Ale po chwili o nim zapominam, klęcząc, spocony, skręcając jakąś szafkę. Dla Alicji. Po chwili ta elektroniczna smycz dzwoni.

– Spakowany? Długa lufa wzięta? Jedziesz? – Głos fotoeda co to na wielkiego faceta wygląda.

– Jak spakowany? Jak jadę? – pytam zdziwiony, bo nie rozumiem.

– Smesa dostałeś?...

– Dostałeś, ale nie odczytałeś – odpowiadam. – Bo mamy przeprowadzkę, i meble skrećcam... Właśnie z Patrykiem rozpatrywałem, czy by jakiejś wódki się nie napić, dla odprężenia, bo taka jedna flaszka tu stoi i strasznie się do nas uśmiecha.

– Ale wypileś?

– No jeszcze nie... niestety – wyrażam żal.

– W Mirosławcu, lądując na lotnisku wojskowym, rozbił się samolot, i ze dwudziestu ważnych oficerów zginęło – głos ma poważny. Bardzo poważny. To i sprawa poważna. Parcie jest na temat. – Dupe w troki i jedziesz...

– A gdzie to w ogóle jest? – pytam, zerkając na mapę na ścianie.

– Za Wałczem. Patrząc od Poznania.

– To zachodniopomorskie jest. Nie nasz rejon – próbuję jak zwykle protestować.

– Nie kombinuj. Najlepszych wysyłamy – tere fere gacie z drutu, że niby pochwała, że niby wyróżnienie.

– Nie mam paliwa ani kasy, bo znowu nie przelaliście. Nie mogę pojechać... nie mam za co...

– To ci zaraz coś przeleją. Wsiadaj i jedź. – i rozłącza się...

Jak przeleją? W piątek wieczór o dwudziestej pierwszej. Wywloką kogoś z domu, i zaciągną do banku. Żeby dokonał przelewu? Powinienem takie wypowiedzi nagrywać. Może kiedyś ktoś mi uwierzy.

Idę do bankomatu za rogiem. Desperacko idę. Są pieniądze! Całe dwa pięćdziesiąt. Od dwóch tygodni. Wracam, i idę do pokoju Alicji.

Zna sytuację, i mówi:

– Jedziesz z Paulinką. – Patrzy mi głęboko w oczy. – nie masz wyjścia, tak warszawa zdecydowała...

– Ale wiesz, że nie mam za co... debet, to pół roku temu wykorzystałem. I teraz mam kłopoty. Pracuję, żeby go spłacać...

– Wiem. Jak trzeba było gdzieś jechać, to zawsze się zgadzałeś...

– Ale teraz to już nie mam za co... z pustego to i Salomon nie należy...

– Zaraz zobaczymy, co da się zrobić. My też jesteśmy przed wypłatą – kończy zdanie i wychodzi z pokoju.

Robi zrzutkę w redakcji. Finansową. Kochana dziewczyna. Ten może dać dziesięć, ten dwadzieścia, tamten jeszcze ileś... sama dorzuca pięć dych. Uzbierało się tego, ze sto dwadzieścia złotych. Szybko przeliczam, i stwierdzam, że na paliwo starczy. W obie strony. Ale tak na styk. Ale kiedy im oddam, to, Nie wiem, niEwiEm, NiEwiEm.

Jedziemy. Z marudzącą Paulinką. Coś mi ten samochód, nie chce hamować. No tak miałem już jakiś czas temu, do mapeta pojechać. Żeby sprawdził. No nic przypominam sobie jak hamować silnikiem, i ten taki miękki pedał hamulca omijać. Za Wałczem, zaczyna być ciężko, drogę przykrywa mokry śnieg.

Mijamy tablicę z napisem Mirosławiec. Kawalek dalej, po prawej boczną drogę blokuje radiowóz straży gminnej. Jedziemy dalej. Przy barze po lewej stronie drogi, stoi wóz ochotniczej straży pożarnej. Młode chłopaki, z zapalem pałaszują hot dogi, czy hamburgery. Podchodzę do nich, starając się być taki ziom. Udaje się, pokazują, mniej więcej, gdzie spadł samolot. Kierunek wskazują. Gdzie jechać. Prosto na tego strażnika gminnego, co drogę blokuje.

Podjeżdżamy. Sympatyczny facet. Właściwie przeprosza, że nas nie może przepuścić. Nie chce tu być, i stać. Z żoną może, albo z kolegami na wódkę, czy piwo, by poszedł. Trochę mu pomagam. Jak podjeżdżają auta jakichś telewizji, i z radia, to agresywnie krzyczę „Nie ma przejazdu. Droga zablokowana!!!”. Tak próbuję się zaprzyjaźnić.

Działa. Jak odjeżdżają to mi zdradza. „Ja pana przepuścić nie mogę, ale miejscowi, to tam za kominem skręcają, i potem widzę, jak pod lasem jada, i na tą drogę przed zakretem wjeżdżają”. Po dziesięciu minutach jesteśmy z Paulinką, poza pierwszą blokadą. Jedziemy dalej. Jesteśmy przy takim, jakimś parkingu leśnym. Ale to zapasowe lotnisko się okazuje, i droga taka prosta się okazała. Grupa poborowych nas stamtąd przegania. Kazali pilnować. To pilnują.



Wracamy. Po drodze, zatrzymuję się przy leśnej drodze. Nie wjadę tam. Mokry śnieg, a pod spodem błoto. Mokre. Zakopiemy się na amen. Chcę iść pieszo. Ale widząc wzrok Paulinki. Rezygnuję. „Mam tu sana zostać!?!?!?”. Opuuszczam.

Docieramy do wjazdu na lotnisko. Pełno wozów transmisyjnych i fotoreporterów. Z naszego koncertu są nawet ludzie z lubuskiego. Korespondent ze szczecina, z latarką pyta mnie czy idziemy do lasu. Na spacer. W jego wzroku widzę, że bierze mnie za osobę bez skrupułów. Myli się. Łapię wzrok Pauliny. Ani mi się waź. Premiera masz zrobić. Jak przyjedzie.

– Premiera mam zrobić jak przyjedzie...

Idzie ze swoim fotoreporterem w las. Mieli szczęście. Udało im się. I nagle, pluton wojska wyszedł. I stanął, na ścieżce, którą poszli. Dzwonię z ostrzeżeniem. Ominęli ich. I mają wrak na zdjęciach. Duża sprawa.

Do pracy, przyszedłem jakieś kilkanaście godzin temu. Pada śnieg. Parę fajnych zdjęć zrobiłem, jak te płatki spadały. I parę smsów dostałem: „Widzę cię w TVN24”. Znajomi piszą... Rozglądam się. Zwykle staram się kolegom z TV, w kadr nie wchodzić. No tak. Ustawili ogólną kamerę, na stałe, za swoim wozem transmisyjnym. Doświetlacze, powodują, że trudno ją zauważyć. Idiota ze mnie. Pomachałem w jej kierunku. Do znajomych. I od razu zrobiło mi się głupio. W takim miejscu. Taki gest. Czasami jednak, szybciej działałam, niż myślę.

Siedząca w aucie Paulinka marudzi:

– Wojtek, zimno jest. Włącz silnik, to się trochę ogrzejemy... i kawy bym się napiła

– Nie mam paliwa. Nie mam pieniędzy. Nie będzie grzania. – Ale wpadam na pomysł: – Idź do Sławka, on siedzi w aucie z włączonym silnikiem. I się grzeje.

Paulinka przesiada się z mojego audi, do nissana Sławka. I woła:

– Chodź, ogrzej się też...

– Nie jest mi zimno... – odpowiadam. – A tą kawę postaram się załatwić...

Z tym, że akurat nie jest to prawda. Zimno mi jak jasna cholera. Masochistą nie jestem, ale z doświadczenia wiem, że jak teraz zacznę się w aucie grzać, to potem będę marzył jeszcze szybciej. To wołę zmarznąć raz. A nie tak raz za razem.

Podchodzę do trzech wartowników przy bramie lotniska i zagajam:

– Słuchajcie chłopaki, jestem tu z najgorszą cholera z mojej redakcji. Nie da mi żyć jak jej kawy nie załatwię – taki bajer im sprzedaje. – Dacie radę coś zorganizować?

Chwilę patrzą na mnie w milczeniu, oceniając, czy w porządku ze mnie gość, czy wariat jakiś. Dwóch odchodzi, sprawdzić jakiś samochód, który akurat pod szlaban podjechał. Trzeci uśmiecha się, i mówi:

– Coś się da zrobić. Tylko oficer dyżurny musi sobie pójść

– Oki. To za chwilę podejdę...

Śnieg, sypie coraz większymi płatkami. Urzeka mnie zarys postaci jednego z operatorów na tle jasnego światła, wśród tego padającego śniegu. Wygląda, jakby był zawieszony

w próżni. Robię zdjęcia. Chociaż coś przywiozę z tego wyjazdu. Wyjątkowo, te foty akceptuję.

Widzę jak wartownik, daje mi jakieś znaki. Podchodzę.

– Z tą kawą to problem będzie – widzę, że jest mu autentycznie przykro – sierżant się cofnął niespodziewanie, i tak nas zjebał, bo młody, który ją robił, mu powiedział, niestety, że ta kawa to dla was...

– Znaczy podoficer. Czyli trep...

– Ja tego nie powiedziałem, ale rację to pan ma...

– Dobra. Nie ma sprawy... jakoś przeżyje...

Właściwie to mamy wiele wspólnego ze sobą. Ten poborowy i ja. Też dostaję bezsensowne zębki. Od jakichś sierżantów. Z warszawki. Bo obiekt na zdjęciu, patrzy nie tak jak sobie wymyślili.

Nadjeżdża premier. O dziwo dowództwo bazy podstawia nam autobus. I możemy wjechać na teren lotniska. Będzie konferencja prasowa. Wszyscy starają się dostrzec coś przez okna. Nic nie widać. Żadnych śladów. Wsiadamy przed jakimś budynkiem. Przez przeszklone wejście widzę grupę zasmuconych pilotów i obsługi. Paulinka mówi:

– Zrób im zdjęcia. Napiszemy o ich bólu – nie wpadłem na to. Znaczy, tak mnie ta robota jeszcze nie zmieniła. I tu muszę podziękować Paulince. Były to jedyne zdjęcia, które poszły. Tych zmartwionych ludzi. Tak jak pamiętam.

Konferencja, na dworze. I po konferencji. Wracamy. Prawie zasypiam za kierownicą. Ale brak hamulców skutecznie mnie budzi. Co chwilę. Jadę i tak myślę, jestem w pracy osiemnaście godzin? Czy tylko szesnaście? Nie mogę się doliczyć. Ale czy to ważne? Za godziny mi nie płacą. Tak samo jak za dyżury. I nieopublikowane zdjęcia. A zrobione, wedle zamówienia. Szlag mnie trafia, i odrzucam te myśli.

Następnego, a właściwie tego samego dnia, po dwóch godzinach snu, dzwonię do Marcina:

– Marcin, słuchaj, w aucie skończyły mi się hamulce, dasz radę, czy wszystko masz zajęte – pytam, bo wiem, że studiuje i jego warsztat przez te studia trochę z boku jest

– Hamulce??? To podjedź zobaczymy...

– Piętnasta???

– Okej. Zrobię miejsce. To o piętnastej...

Kochany chłopak. Bardzo go lubię. I solidny. Czasami coś przekombinowuje, ale delikatnie. Jak coś mi w aucie naprawia, to od razu, zwraca uwagę, że to albo tamto trzeba wymienić. I używa mózgu. Co rzadkie u mechaników jest. I jeszcze na kredyt mi naprawia. Bez niego to już dawno, moje auto, to byłby złom. Niestety, rozmowę z nim słyszy Paulinka, siedząca za ścianą.

– Hamulców nie masz!!!! W aucie!!! To dlaczego pojechałeś!!! I takim autem bez hamulców jechaliśmy!!!! – piekli się i wcale mnie to nie dziwi...

– Pojechaliliśmy i wróciliśmy. Nie ufasz mi?

## KADR OSTATNI

No i zostałem bez pracy. Zdjęcia robię hobbystycznie. Sam wybieram, co chcę zrobić. Może ktoś kupi, jakąś fotę. A z tym trochę trudno. Ale nie upadam na duchu. Mimo, że banki, dość mocno upominają się o spłatę zadłużenia. Kolegów mam, co firmę reklamową prowadzą. Przygarnęli mnie. Słabe pieniądze, ale atmosfera zaję...sta. tylko oni normalni, to nie są. Przyjęli ostatnio, takie zlecenie. Na robotę. Typowo reklamowe. Wyburzenie kamienicy. Dwa tygodnie mnie podpytywali, czy podjąłbym się, szefowania ekipie, która taką przybudówkę na podwórku rozbierze. Bo na tej budowlance, to trochę się znam. Dom postawiłem, i ludzi trzeba dopilnować. Przybudówka? Pewno, mogę to zrobić. Ustaliliśmy cenę. Przyjeżdżam na miejsce. Wchodzę na podwórze. I chyba adres pomyliłem. Trzykondygnacyjna oficyna. Niestety, mój przyjaciel Zyga, po chwili wychodzi z budynku. W kasku na głowie. Niestety nie pomyliłem adresu. I mówi do mnie jakimś takim szeptem: „Troszku się wpierdoliliśmy”. „NO WŁAŚNIE WIDZĘ!!!”. Odpowiadam. Ale obiecałem, że im pomogę, to się teraz nie wycofam. Przyjaźnimy się, i parę razy mnie wsparli, jak ciężko było, to teraz ich nie zostawię, w tej wtopie. Co za goście. Normalnie mnie przerażają. I tak wożę raz za razem, taczki z gruzem, słuchając jak, ekipa od rusztowań, wyzywa się słowami na k... na ch... na p... I nie widzę różnicy w pracy. Poprzednio, panowie redaktorzy też tymi słowami się zwracali do mnie. A to podobno inteligencja narodu???? A tu jako robot, jeżdżę z taczkami, z gruzem, i to samo??? Ten sam język??? Znaczą Niemcom i ruskim, po trzystu latach udało się wybić w końcu w pień inteligencję i kulturę w tym narodzie. Co widać w sejmie. I w posłach, których do telewizji zapraszają. Takich ważnych. „Mężów Stanu”. A większość z nich to powinno z tą taczką z gruzem jeździć. Którą akurat pcham, jak te słowa układam. To by schudli, jak ja. I, spokornieli.

Wcielamy się w roboty. Ja i moich dwóch przyjaciół. I jeszcze ich pracownik. Sympatyczny chłopak. I tak jak ta ekipa od rusztowań, wyzywamy się słowami na ch... k... i p... ale zawsze, jak sobie tak docinamy, wulgaryzmami, i szydzimy z siebie nawzajem, to gdzieś w ostatniej zgłosce zdania, wyrazie twarzy, spojrzeniu, jest sympatia...i szacunek który do siebie mamy... choć to może za dużo powiedziane... ten szacunek...Po prostu, lubimy ze sobą przebywać, opowiadać sobie historie z życia... bekać... pierdzieć... zachowywać się tak ludycznie... i mieć wszystko w tzw. czarnej dupie jak ze sobą przebywamy...reszta jest milczeniem. Po prostu samo życie. Faceci po czterdziestce, co dogadać się z żonami, nie mogą, z różnych względów. Głównie dlatego, że kobiety, które kiedyś były dziewczynkami, nie czytały nigdy komiksów. Z pewnymi wyjątkami oczywiście. A my, jak to na trzech przyjaciół z boiska przystało, porozumiewamy się właśnie cytatami z komiksów. Ja preferuję „Kajka i Kokosza”, Zyga „Tytusa”. Potem przechodzimy na teksty z jakichś kultowych filmów polskich, typu: „Rejs”, „Miś”, i z paru takich nowych produkcji. Zawsze mnie to zastanawiało, że korzystając, z tak nieadekwatnych do sytuacji słów, potrafimy się zrozumieć. A osoby postronne jeszcze parę dni żyją w osłupieniu, myśląc: „To

niemożliwe, jakaś wycieczka z domu wariatów, tą reklamę robiła. I jeszcze cały czas rehotali...nie wiedzieć, z czego... ale kaseton z reklamą zrobili fajny... i świeci najjaśniej na całej ulicy”. No i uwielbiamy mówić do siebie: „Zwierzę...” jak coś soczystego któryś z nas zapoda, takiego od serca. Niebezpiecznie trochę tu jest, bo ściany tej oficyny, to takie bardziej piaskiem murowane. I piwa nie pijemy. Tylko wodę. Jak zwierzęta, zupełnie. Tą wodę pijemy. I to nasze obcowanie ze sobą na tej budowie?...Rozbiórce? To nasze takie Katharsis. Jaki kraj takie Katharsis. Tak bywa.

Najlepsze jest to, że odzyskuję spokój ducha. Telefon milczy. Skrzynka meilowa milczy. Czasem, jakiś telefon z estrady, że koncert jest, i foty by chcieli. Albo z jakiejś gminnej gazety, zadzwoni jakiś sympatyczny, dziewczęcy głos, co to nawet nie wiem jak rozmówczyni wygląda, i prosi grzecznie, czy nie mógłbym podjechać do takiego Swarzędza, bo będzie Goran Bregovic, albo inna gwiazda, i zdjęcia im wysłać. Po prostu inny świat. Jak w „Tygodniku Poznańskim”. Taki spokój. I kultura. I szacunek. Nazywają to chyba: „Miłą atmosferą w pracy”. Ale tu w tej gazecie to takie rzeczy się nie wydarzają. Tylko: „Arbeit, arbeit, arbeit” i: „Jawohl, jawohl, jawohl”, a jak ktoś się zbuntuje to: „rue, rue, rue”. A tygodnik też wszyscy określali mianem szmatławca, brukowca, a wiedzieli zawsze, dokładnie jakie tematy ostatni numer zawierał. Ze szczegółami znali artykuły. Ale wtedy, to tej obecnej redakcji jeszcze nie było. I nikt nie wiedział, jak taki brukowiec naprawdę wygląda. I jak może mieszać ludziom w głowach. I tą gazetę jednak czytają. Różni ludzie. Z różnych środowisk. Zaskakujących wręcz. Ukradkiem pewnie czytają. Choć zarzekają się, że nie biorą tego gówna do ręki. No bo gówna do reki się nie bierze. Chyba, że psie,. Taka akcja jest teraz. „sprzątam po swoim psie”. I tam rozdają takie woreczki. Do zbierania tych kup. to może zadzwonię do wawy, teraz, żeby takie woreczki? Rękawiczki? Do wydania dodawali, co by ludzie, rąk sobie nie brudzili? To jest pomysł! Nie płytka Cd, nie torebka, nie koszulka. Tylko takie jednorazówki chirurgiczne... ale hicior wymyśliłem teraz...

A ci, co to nie czytają tej gazety, zawsze na bieżąco są z tematami. Na tak zwanym kiblu, pewnie ją wertują. Żeby nikt nie widział. Miejsce idealne. Tylko jakby papieru do twarzy tam zabrakło, to lepiej się nią nie podcierać. Jak ktoś białą bieliznę preferuje oczywiście, bo takie kolorowe ślady od farby drukarskiej mogą zostać. A czy z bawełny ta farba schodzi, to nie wiem. Ale te rękawiczki lateksowe, ten problem w pewnym stopniu rozwiążą.

Wożąc te taczki z gruzem. Nikogo nie krzywdzę. Nieświadomie. Albo świadomie. Zarabiam czterokrotnie mniej. Ale mam czyste sumienie. I zasypiam ze spokojem. I budzę się nieładnie zmęczony. Wyrwane stawy dokuczają, i bóle w krzyżu. Od dziesięciu lat fizycznie nie pracowałem. Aparat czasem do ręki biorę i idę na spacer. I psa wtedy wołam. Cieszy się dziko. Spacer z Panem. To jest coś. I tak parę godzin łazimy. Ja, jak coś mnie urzeknie to staram się to utrwalić. Moja sunia w tym czasie, po jakichś krzakach, czy zakamarkach buszuje, za tymi swoimi pieskowymi zapachami. I jak ją wołam, to przybiega do mnie z mordą rozradowaną. I dobrze mi z tym, bo w lustrze wreszcie widzą swoją uśmiechniętą twarz... smutną, ale uśmiechniętą... bo trochę, za ten sprzęt foto trzeba rat jeszcze zapłacić... i tyle. A te taczki z tym gruzem, to nawet polubiłem... praca w mediach polega na czekaniu... na moment, w którym robi się zdjęcie... ale najczęściej na wypłatę... a w rozbiórce na moment... kiedy ci taczkę zapełnią gruzem...

Wojtek Wardejn Poznań, lipiec-sierpień 2008

## **Spis treści**

### **WSTĘP 5**

*czyli słów kilka o tym, co boli*

### **KADR I 6**

*Dwie małe śmierci, czyli jak podeptać czyjąś tragedię*

### **KADR II 15**

*Do czego doprowadza mobing, czyli historia pewnego skarbu*

### **KADR III 24**

*Serial basenowy, czyli jak zrobić z siebie idiotę 24*

### **KADR IV 36**

*Telefony... telefony... telefony...*

### **KADR V 47**

*Portret pamięciowy*

### **KADR VI 52**

*Po prostu... Paulinka...*

### **KADR VII 80**

*Patrycja – czyli jak ten zawód deprawuje*

### **KADR VIII 92**

*Prowokacje – czyli jak robiłem z siebie durnia*

### **KADR IX 103**

*Piotr – jak młodość i ambicja rozsądek usypiały...*

### **KADR X 120**

*Pomyłki różne*

### **KADR XI 127**

*Pioruny*

### **KADR XII 138**

*O tym jak swoje dzieci zmuszałem do psychicznego nieładu 138*

### **KADR XIII 144**

*Papparazzi... czyli stanie, stanie, stanie... i czekanie, czekanie, czekanie*

### **KADR XIV 154**

*Finanse, czyli problemy niemłodego wyrobnika*

### **KADR XV 159**

*OSTRZEŻENIA*

### **KOŃCOWE UJĘCIA 160**

### **KADR OSTATNI 162**



Jest to studium mechanizmów funkcjonowania hierarchii wartości w jednym z tzw. tabloidów. Autor - fotoreporter nie zatracił jednak do końca wrażliwości... Przybliży prawdę o medium wnikliwie i obrazowo. Osiąga to poprzez wierne relacje językowe. Dialogi pełne kolokwializmów, skrótowości, wyrazów dosadnych i niecenzuralnych. Tak porozumiewają się ludzie świata mediów. Fotoreporter (współ z dziennikarzem) realizuje często absurdalne polecenia, które budzą wewnętrzny sprzeciw. Książka odsłania manipulacje informacjami o zdarzeniach, nawet tych tragicznych. Pisarz wykorzystując swe wieloletnie doświadczenie oddaje klimat pracy w redakcjach tego typu mediów. Liczne sytuacje śmieszają swym komizmem. Wszystko to sprawia, że książkę czyta się dobrze.

*Profesorka Języka Polskiego  
z jednej ze szkół, do której Autor kiedyś zabłądził*